

„Macbeth” w Ludowym

Mroczny teledysk

Są podobno młodzi ludzie, którzy potrafią godzinami siedzieć przed telewizorem i wgapić się w teledyskową siećkę serwowaną przez kanał MTV. Szybka, zwarta akcja, amerykański montaż, ogłuszająca muzyka, kilka tanecznych kroków i sukces nawet przeciętnego wykonawcy gwarantowany.

Ta prosta reguła musiała przyświecać twórcom „Macbetha”, zrealizowanego na scenie „Nurt” Teatru Ludowego.

Reżyser Jerzy Stuhr doszedł do wniosku, że pocziwy Shakespeare nadaje się na autora świetnego scenariusza teledysku, a może nawet sensacyjnego filmu akcji. W końcu napisał niezły kryminał, w którym trup ściele się gęsto, wprowadzając weń na dodatek wątki horroru w postaciach czarownic. Mamy tu bowiem opanowanego żądzą władzy mordercę i jego piękną żonę, której nieobce jest słowo sztylet. Są też ofiary w osobach króla Szkocji Duncana i dowódcy armii królewskiej Banque’a.

Kiedy znalazł się już tak wspaniały scenarzyista, potrzebna była tylko jeszcze odpowiednia oprawa plastyczna, która niczym w wideoklipie ze zmieniającym się w wilkołaka Michaeliem Jacksonem wprowadzi widzów w mroczną atmosferę sztuki. I rzeczwiście w „Macbethcie” jest ona najatrakcyjniejsza. Elżbieta Krywsza stworzyła interesującą scenografię, co było tym trudniejsze, iż str-

zliwy świat czarownic i mury zamku musiały zmieścić się na malutkiej scenie, przez którą przemaszerowuje również oddział wojska.

Po jednej stronie znalazł się niesamowity las, w którego gąszczu piekielne zjawy odprawiają swe obrzędy, po drugiej zaś zbudowano wejście do zamkowych komnat. Nad wszystkim przelatuje straszliwa Hekate (Katarzyna Tłałka-Bryś), a także wznoszą się w koszu pozostałe czarownice.

Całość pogrążona jest w mroku, przez co nie bardzo widzimy twarze aktorów, w ciemności rysują się tylko ich sylwetki, z których dobywają się głosy nie najlepiej radzące sobie ze strofami Shakespeare’a. Krótkie, dynamiczne sceny jak z sensacyjnych filmów i zatrzymane w kadrze, oświetlone latarką oblicze Macbetha, który monotonicznie wygłasza swoje monologi.

Macbeth Rafała Dziwisza jest postacią dość beznamiętną. Sterowany wiarą w odpowiednie oraz bardzo subtelna rączką żony (Ewa Ka-im), gubi się zupełnie wśród przytłaczającej lawiny zbrodni. Na końcu zastyga w bezruchu, na wysokich kotur-

nach, niczym muzealny obiekt. Czyżby miało to świadczyć o tym, że dziś prawdziwych tyranów już nie ma, a ich podobizny przechowuje się tylko w muzeach? Mam nadzieję, że nie.

Ważnym elementem tak pomyślanej inscenizacji powinna być muzyka. Ta jednak, autorstwa Adama Korzeniowskiego, nie bardzo współgra z dynamiką całości. Ginie gdzieś w ponurym wnętrzu, tak jak dziwaczne śpiewy czarownic, które najbardziej przypominają jęki. A szkoda, bo wśród nich znalazła się obdarzona pięknym, mocnym głosem Marta Bizoń, której duże możliwości nie zostały w żaden sposób wykorzystane.

Naukowcy twierdzą, że w ciągu ostatnich lat diametralnie zmienił się nasz odbiór świata. Postrzegamy go przez pryzmat kolorowych reklam, ogłuszających teledysków i różnych wynalazków cywilizacji, bez których podobno nie potrafimy się już obejść. Teatr bywał do tej pory ostatnią enklawą spokoju, gdzie w ciszy i skupieniu można było kontemplować odwieczne prawdy.

Magda Huzarska-Szumiec
W. Shakespeare „Macbeth”
Reżyseria: J. Stuhr
Scenografia: E. Krywsza
Muzyka: A. Korzeniowski
Premiera: grudzień 1995



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

26

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

CZAS KRAKOWSKI
ul. Pijarska 9
31-015 KRAKÓW

7. 15 21-02-96
Nr..... z dn.....

W teatrach



TEATR LUDOWY
KRAKÓW - NOWA HUTA

„Makbet”

W piątek Teatr Ludowy w Nowej Hucie zaprasza na „Makbeta” Williama Szekspira w reż. Jerzego Stuhra. Ta opowieść o żądzy władzy i nienawiści staje się okazją do zastanowienia nad ludzką naturą, pełną sprzeczności — przewrotną i nieodgadnioną, nad niepokonywanymi ambicjami człowieka, który dla sławy jest w stanie posunąć się do zbrodni. Przed takimi właśnie mrocznymi siłami tkwiącymi w człowieku już kilkaset lat temu przestrzegał Szekspir, zwracając uwagę, że całe zło świata właśnie z człowieka bierze swój początek. Spektakle

przygotowywane w Teatrze Ludowym przez Jerzego Stuhra cieszą się szczególnym powodzeniem. Znany aktor okazał się świetnym reżyserem. Młodzi aktorzy „Ludowego” stworzyli bardzo dobre kreacje — w roli Makbeta można zobaczyć Rafała Dziwisza, zaś w roli Lady Makbet — występującą gościnnie Ewę Kaim (aktorkę Starego Teatru). Ponadto w spektaklu grają m.in.: Marta Bizoń, Agata Jakubik, Tomasz Schimscheiner i Piotr Szewc. Scenografię przygotowała Elżbieta Krywsza-Fedorowicz.



„Samoobsługa” — Mała Scena

„Samoobsługa” to jednoaktówka Harolda Pintera, jednego z najwybitniejszych dramaturgów naszej epoki. Pinter jest mistrzem grozy

odnajdywanej w banalnych, wydawałoby się, sytuacjach codziennych. Zaskakujące efekty, niespodziewane wizyty, tajemnicze postaci wytwarzają napięcie, które udziela się widzom. Akcja jego sztuk budowana jest z precyzją godną Hitchcocka. W „Samoobsłudze” dwóch gangsterów oczekuje w podziemnym pomieszczeniu na „robotę”. Stopniowo zaczynają docierać do nich dziwne informacje, nie mające, zdawałoby się, nic wspólnego z ich zadaniem. Uczucie niepewności narasta... aż do zaskakującego zakończenia, którego żaden z nich nie był w stanie przewidzieć. W spektaklu występują: Jerzy Grąlek, Mieczysław Grabka. Spektakl reżyserował Jacek Gąsiorowski.

GROTESKA TEATR LALKI I MASKI

„Kopciuszek”

„Kopciuszka”, jednej z najbardziej lubianych bajek dla dzieci, re-

komendować nie trzeba. Wszyscy znamy historię biednej, pokrzywdzonej dziewczyny, która swoją brocią i niewinnością zdołała na le wrzucić siły nadprzyrodzone, że te spowodowały odmianę smutnego losu. Historia Kopciuszka — przypominająca amerykańskie scenariusze filmowe, je w gruncie rzeczy bardzo bliska katedemu człowiekowi. Bo czy istnieje człowiek, który zasypiając nie marzy, aby choć raz w życiu obudzić się w innej rzeczywistości?

W zaczarowany świat, w który w ciągu godziny na scenie można pokonać głupotę i zło, wprowadza nas autor kolejnej wersji „Kopciuszka” — Jewgienij Szwarz, rosyjski dramaturg, autor scenicznych baśni dla dzieci i dorosłych („Nagi król”, „Człowiek”, „Smok”). Spektakl reżyserował Małgorzata Brożonowicz-Sienkiewicz. Scenografię przygotował Jan Burnat. Występują m.in.: Izabela Burska, Barbara Chmiel, Anna Kasprzyk, Włodzimierz Jasiński i Krzysztof Suszek.

BG

Z notatnika recenzenta

Z takimi przedstawieniami, jak szekspirowski „Makbet” w wykonaniu Teatru Ludowego z Nowej Huty — zawsze jest ambaras. Plusy i minusy rozkładają się niby równo, a jednak widz wychodzi ze spektaklu z

rolę wyznaczono w tej inscenizacji nie tylko parze królewskich zbrodniarzy, ale i siłom nadprzyrodzonym, których partie są szczególnie mocno wyeksponowane i bardzo uteatralizowane, w dobrym tego słowa znaczeniu.

Makbet uproszczony

ogromnym niedosytem, zaś najkrótsza recenzja brzmi: „A mogło to być takie piękne przedstawienie...”

Piękne to ono właściwie jest, jeśli rozumieć pod tym pojęciem pomysłowość inscenizacji, bogactwo rozwiązań sytuacyjnych, nastrojów, kostiumy i scenografię. Ta warstwa przedstawienia, pokazanego na VII Gliwickich Spotkaniach Teatralnych, jest prawie bez zarzutu. Jerzy Stuhr — reżyser „Makbeta”, pomieścił akcję pomiędzy dwoma rzędami widzów, którzy zasiadają na deskach sceny, i o których dosłownie ocierają się postacie dramatu. Nie jest to bynajmniej karys realizatorów czy dziwactwo (wyjawszy korszarną twardość ławek, na których nas posadzono) — owa bliskość, w połączeniu ze stosowaną w widowisku grą światła i ciemności, a przede wszystkim ze zmieniającym się miejscem akcji, sprzyja klimatowi zagrożenia i niepokoju, za-

skoczenie przychodzi bowiem z każdej strony. Nowohucki „Makbet” jest mroczny i straszny z założenia, dominującą zaś

wciąża powoli i nie bez wahań z ich strony. Być może to tylko brak doświadczenia młodych wykonawców, być może jednak — pomysł na interpretację.

Przyznam, że długo czekałam na przełom w aktorskiej jednostajności, sądząc, że to świadomy zabieg reżysera, i że tłumione uczucia wybuchną nagle, prawdziwie i przejmująco. Doczekałam się tylko przedziwnego finału, w

Dekoracje sprowadzone są tu właściwie do niezbędnego minimum, wykorzystana jest natomiast cała magia sceny: precyzyjnie, punktowo pracujące reflektory, wyciągi, techniczne balkony, dymy, różne miejsca wejść i zejść aktorów. W tym kłębowskiu, najczęściej w mroku, poruszają się postacie dramatu ubrane w czarno-szare, fantastyczne kostiumy Elżbiety Krywskiej, które idealnie współgrają w charakterze inscenizacji.

No i mogło być takie piękne przedstawienie... Ale prawdziwa szekspirowska tragedia zaczęła się tylko w kilku scenach: zmęczony Makbet po pierwszej zbrodni, mycie rąk, lady Makbet zmieniająca białą szatę na złowrogą czerń, rozpacz Makdufa... Poza tym, niestety — komiksowa powierzchowność, granie na jednym tonie, ani cienia emocji czy wewnętrznej rozterki bohaterów, którzy przecież koło zbrodni

którym, ustawiony na koturnach i zakuty w zbroję, Makbet zmienia się w... muzealny eksponat. Zdezorientowana tą wolną publiczność wychodziła z przedstawienia ze śmiechem. Doprawdy, z „Makbeta” ze śmiechem...

Przedstawienie z Nowej Huty wpisuje się w niedobrą tradycję grania Szekspira według zasad filmowego horroru czy kryminału. Po „Hamlecie” z warszawskiego Teatru Dramatycznego i kilku innych inscenizacjach, przyszła widać pora na Teatr Ludowy. Tłumaczenie, że tylko tak można przyciągnąć do teatru młodą widownię jest nadużyciem wielkiej miary, bo znam młodzież, która czuje się takim „ułatwianiem” wysoce zde gustowana. W końcu nie sensacyjna intryga, lecz głęboka penetracja psychiki ludzkiej czyni z Szekspira dramaturga wszechczasów.

HENRYKA
WACH-MALICKA

W trójkącie Katowice, Warszawa, Seul

Czas dla młodych

Jutro na estradzie Filharmonii Śląskiej wraz z orkiestrą pod dyrykcją Jerzego Swobody, staną: znakomity skrzypek, prof. Roman Lasocki i jego studenci — Anna Rechlewicz, Szymon Krzeszowiec i Andrzej Rudny. Katowiccy studenci.

To dopowiedzenie ważne, jeśli pamiętać, że ich mistrz jest również pedagogiem i kierownikiem Katedry Instrumentów Smyczkowych warszawskiej Akademii Muzycznej oraz konserwatorium w Seulu. Pedagogiem niezwykłym, bardzo aktywnym na estradach krajowych, europejskich, w USA, Ameryce Południowej i w Azji, a przywiązany niezmienne do Śląska, z Tychów — w których ten łodzianin z urodzenia osiadł — wyruszającym w każdą koncertową i pedagogiczną podróż. Niezwykłym, bo niemal co roku przedstawiającym nam kolejnego swego wychowanka i laureata jakie-

go konkursu muzycznego. Jest Lasocki pedagogiem niecodziennym i z tego względu, że niezwykle często występuje wraz ze swoimi uczniami. Iu jest takich wirtuozów, którzy prezentują nie tylko swe interpretacje, ale i interpretacje wychowanków?

Tylko w tym sezonie na estradach całego kraju Roman Lasocki aż dziesięciokrotnie występował w koncertach „Mistrz i uczeń”. Z m.in. przygotowywającymi się do Konkursu im. H. Wieniawskiego Natalią Walewską, Szymonem Krzeszowcem (III nagroda Konkursu im. Z. Jahnkego) czy Anną Rechlewicz (II nagroda Konkursu im. T. Wrońskiego) — m.in. w Opolu, Szczecinie (pod dyr. Jerzego Salwarowskiego), Kielcach. Także na współorganizowanym przez Lasockiego z Czesławem Grabowskim, coraz wspanialszym zielonogórskim Festiwalu Mistrzów Polskiej Wiolinistyki czy na festiwalu „Gwiazdy promują” w Jeleniej Górze, które-

go współpomysłodawcą i pierwszym dyrygentem jest Jerzy Swoboda. Szef filharmoników śląskich także stara się czynić wiele dla promocji młodych. Nie w każdej filharmonii tak się dzieje. I nie w każdej dziedzinie.

Dzięki samozaparcu i konsekwencji z jakimi działa prof. Roman Lasocki, polskiej wiolinistce dziura pokoleńowa — tak realna w innych specjalnościach — nie grozi. Także dzięki normalnym koncertom młodych, jak piątkowy w FŚL pod batutą Jerzego Swobody, podczas którego mistrz wykona „Melodie chasydów” Romualda Twardowskiego a młodzi utwory Henryka Wieniawskiego, Anna Rechlewicz — Koncert skrzypcowy fis-moll, Szymon Krzeszowiec — koncert d-moll i Andrzej Rudny — Poloneza d-dur. Rekomenduję go świetne recenzje z poprzednich występów młodych i ich mistrza.

MAREK SKOCZA

Pod eskortą

Koncerty heavy-metalowe kojarzyły się z potworną ilością światła, olbrzymim nagłośnieniem, dużą sceną. Tego blasku i huku brakowało na „Metalmanii”. To co było cztery, pięć lat temu już nie wróci. Tegoroczna „Metalmania” odbyła się w Jaworznie. Dojazd był długi a miejsce słabo znane, więc luda przyszło około półtora tysiąca. Upadek imperium?

Tak jak rok temu, i tym razem ktoś w ostatnim momencie odpadł albo zrezygnował. Nie było Sweet Noise, Asphyx, Turmoil. Występ Power of Expression był ciekawy ale Merauder zagrał lepiej: ciężko i zwałście. Trochę hardcore, trashu i niemiłosiernego wrzasku. Rotting Christ jakby grał death-metal sprzed 10 lat. Moonspell okazał się niespodzianką. Nie wiem czy grali trash gotycki czy metal rycerski ale było dobrze.

Na scenie zaczęło się coś jednak dziać dopiero od występu Tuff Enuff. Dla niektórych debiut tej kapeli na „Metalmanii” przypominał show, jakie zrobili Acid Drinkers w 1990 r. Nokaut dla publiczności od razu, od pierwszego numeru: „What do You Want For?” Na scenie kotłowania-

skoki, biegania, szpagaty, plucie wodą i zabawa basisty z gumową lalką z sex shopu... Tuff Enuff zagrało natładowaną energią i powalający 30-minutowy show. Tym występem udowodnili, że są poważną konkurencją dla Acid Drinkers, którzy weszli na scenę tak jak przystało na gwiazdy... Drain czyli panienki z... Australii. A kiedy przyjedzie ktoś z Chin? Tam też grają metal. Wokalistka Drain, wściekle seksowna Maria Sjöholm, ubrana w obcisłe spodnie i kusy t-shirt, śpiewała znakomicie ale czegoś tu brakowało.

Gwiazdą tegorocznej „Metalmanii” była kalifornijska mieszanina ciężkiego industrialno-trashowego i motu — Fear Factory. Show FF czyli „Demanufacture-Live” oszałamiał i ogłuszał. Gitary cięły z matematyczną dokładnością i... małą różnorodnością. Występ równy, czysty, selektywny jak CD, mimo skakania basisty Christiana Olde Wolbera. Niesamowita maszyneria, ale martwa, bez cienia improwizacji i spontaniczności. Na dłuższą metę męczyła.

Po 40 minutach grania, jaworzniańska hala opustoszała. Wszyscy powędrowali do autobusów. Pod eskortą policji zostali odwiezieni do Katowic. Fear Factory grało więc do końca występu przy niecałym tysiącu osób. Takie rzeczy z frekwencją i zainteresowaniem na „Metalmanii” nie zdarzały się nigdy.

MARCIN KANIAK



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

26

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

CZAS KRAKOWSKI

ul. Pijarska 9
31-015 KRAKÓW

8 22-28-02-96

My się Makbeta nie boimy



„Makbeta” może w teatrze wystawić każdy, kto ma jakikolwiek pomysł na sceniczną wersję tej przedziwnej, zagadkowej

wej i pokrętniej historii o człowieku, którego niepohamowane ambicje władzy kazały zabijać wszystkich przeciwników.

„Makbeta” można pokazać jako tragedię szaleństwa zaślepienia, uporu, zazdrości i ludzkiej pychy. Można go też przedstawić jako dramat historyczny, w którym kolejne łańcuchy wydarzeń krok po kroku dobitnie udowadniają, że ludźmi nie tyle rządzą popędy, co zależni są oni od mechanizmów sterujących światem. Jest tylko jeden warunek — „Makbeta” powinno się grać na poważnie. W przeciwnym razie i Szekspir wychodzi na kawalarza, i najwyższych lotów sztuka staje się partyjką szachów, rozgrywanych przy wtórce

pałacowych trąb i chichotów czarownic.

W „Makbecie” Jerzego Stuhra trudno ustalić, o jakie rozwiązanie chodzi. Dramat szekspirowski zostaje tu sprowadzony do formy baśni o trzech okropnych jeźdźcach, które przepowiadają przyszłość szkockiemu rycerzowi, ten zaś ma piękną, choć okrutną żonę i w końcu zostaje królem. W całym przedstawieniu aż roi się od prześmiewczych spojrzeń, umalowanych na czarno kobiecych ust, dziwacznych śpiewów, wylaniających się z kotła uciętych głów; Hekate zjeżdża na linie nad głowami widzów, sycząc niczym wąż na skołowanego własnymi uczynkami Makbeta. A wszystko to dzieje się i w lesie, i w pałacu, co w przypadku Szekspira nabiera magicznych znaczeń. Sceneria (autorstwa Elżbiety Krywskiej) wnosi do przedstawienia pierwiastek niesamowitości, zwłaszcza że większość zdarzeń rozgrywa się w mroku lub całkowitych ciemnościach.

Jerzy Stuhr potraktował tekst Szekspira tak, jakby nie trzeba by-

minusy

Didaskalia nr 11 luty 1996

dziura

Plusy:

1. Wznowiona po dziesięciu latach *Dziura* wciąż bawi publiczność, widać nie zestarzał się ten typ humoru. Spektakl urzeka ponadto swą świeżością i wdziękiem, co rzadko zdarza się w przypadku „odgrzewanego” repertuaru.

2. Świetne pointy dopisane przez reżysera do przedwojennych przebojów (choćby kochanek duszący niewierną w *Tej ostatniej niedzieli*). Nieme etiudki celnie uzupełniają naiwne już teksty, parodiując je jednak bez zgryźliwości, a z sympatycznym pobłażaniem.

3. Kilka scenek lirycznych zgrabnie wplata się w serię dowcipów, pozwalających na chwilę zadumy po kolejnych erupcjach niekontrolowanego śmiechu.

Olga Katafiasz

Minusy:

1. Biel kostiumów i makijaży skonstrastowana z czernią sceny, odwołująca się do zapamiętanego z przedwojennych filmów obrazu dwudziestolecia, w ciągu dwóch godzin spektaklu nuży jednostajnością.

2. Nie dopracowano większości żartów żydowskich, aktorzy nie opanowali dostatecznie specyficznego, żargonowego sposobu mówienia bohaterów komicznych scenek, co dało efekt połowicznego pastiszu.

Teatr im. St. I. Witkiewicza
w Zakopanem
Antoni Słonimski, Julian Tuwim
scenariusz, scenografia, reżyseria:
Andrzej Dziuk
opracowanie muzyczne:
Jerzy Chruściński
premiera (wznowienie): lipiec 1996

mackbeth

Plusy:

1. Ewa Kaim jako jedyna z nowohuckiego zespołu zbudowała postać czytelną i wiarygodną. Udanie broni swej bohaterki, desperatki, którą kieruje wyłączny impuls. Jej Lady Makbet potrafi być zmysłowa, wysublimowana, nie popada w nadekspresję.

Minusy:

1. Makbet bez Makbeta. Rafał Dziwisz nie różnicuje wewnętrznego napięcia postaci w kolejnych scenach, nie zmienia się pod wpływem swoich działań i wypadków. Podpiera się partnerką, która stwarza i rozwija dramatyczny konflikt za ich dwoje.

2. Tekst nie jest podporządkowany sytuacjom, co zamienia niektóre sceny w popisy deklamatorskie.

3. Nieudolna artykulacja i zła dykcja większości aktorów.

4. Rozplanowanie przestrzeni (aktorzy grają nad głowami publiczności na balkonach) utrudnia widzom śledzenie akcji.

5. Nic nie wnoszą do akcji przydługie pauzy na zgaszonym świetle, bądź ze wstawkami muzycznymi.

6. Wybór przekładu. U Leona Urlicha roi się od niezręcznych zbitek słownych i popisów retorycznych w złym już guście.

Teatr Ludowy w Krakowie
(Scena Nurt)
William Shakespeare
reżyseria: Jerzy Stuhr
scenografia: Elżbieta Krywsza
muzyka: Adam Korzeniowski
premiera: 16 grudnia 1995

Karolina Bauman

krzesła

Plusy:

1. Śladowe znaki ucłowieczenia bohaterów Ionesco: postać Starej (Izabella Połabińska) budowana jest środkami aktorstwa rodzajowego, ma w sobie coś z Dulskiej, podstarzałej mieszcżki. Połabińska usiłuje wykorzystać komizm protekcyjnalno – zalotnych zwrotów typu „tak, kotku”, „słucham kotku”, wyjaśniając przy okazji przyczynę niespełnionego życia Starego (Stanisław Berny), który w takiej interpretacji okazuje się być zwykłym zahukany pantoflarzem.

Minusy:

1. Fatalna organizacja przestrzeni: tytułowe krzesła przestają być głównymi bohaterami sztuki czy nawet jakąkolwiek metaforą. Para scenografów umieszcza za to na scenie dwie schodowe przystawki i szafę, właściwie nie wiadomo po co, bo aktorzy nie potrafią z nich umiejętnie skorzystać. Jak również z tajemniczych białych linii na podłodze, których znaczenie pozostanie dla widza zagadką po wsze czasy.

2. Zepsuty finał spektaklu: nie wyjaśnia się, kim jest Mówca (Piotr Urbaniak), dlaczego on jeden i po co przychodzi na bal. Wszelkie innowacje związane z funkcją tej postaci są wyjątkowo nietrafione: Mówca tańczy coś, co tylko przy sporej ilości dobrej woli może być uznane za techno, wygląda w dodatku jak woskowa figura wczesnego Johna Wayne'a (kowbojski kapelusz!). Nie wiadomo, dlaczego to on a nie Stary i Stara próbuje wyskoczyć oknem.

Teatr Bückleina w Krakowie
Eugène Ionesco
opracowanie tekstu i reżyseria:
Izabella Połabińska
współpraca scenograficzna:
Katarzyna Fenz, Marek Kalita
muzyka: Andrzej Żarycki
premiera: 27 stycznia 1995

Tomasz Drewniak

Zabili go, czy uciekł?

TEATR LUDOWY. „Macbeth”

Zapewne dziś „Makbet współczesny” przypominałby swą estetyką „Wściekłe psy” Quentina Tarantino: opowiadałby o porachunkach kilku zawodowych morderców (Duncan, Malcolm, Macduff, Banko, Makbet i jeszcze paru) skazanych na ostateczną rozgrywkę w miejscu, z którego ani oni, ani widzowie nie mogą wyjść przed czasem.

Zanim nie wypełni się cykl zbrodni. Byłby to spektakl pełen okrucieństwa: nie chodzi o krwawe jatki, ale rodzaj napięcia, elementu stałego zagrożenia w relacjach między aktorami.

Nowohuckiego „Macbetha” Jerzego Stuhra nie wypełnia okrucieństwo. Świat, który reżyser dostrzegł w tragedii Szekspira, nie jest czarny, przesiąknięty ludzkim złem, a raczej tylko straszny, straszny grozą „gotyckiej” bajki. Z niej pochodzi wszechobecność sił demonicznych personifikowanych w postaciach czarownic (pośród których facho-we oko, a raczej ucho wyłowi naszą ulubienicę Martę Bizoni). Wiedźmy są nieprawdziwe, przebrane, „teatralne”, a w dodatku swingujące, toteż zamykają akcję w cudzysłowie scenicznej sztuczności, jawnego udania.

Widać, że Jerzy Stuhr szlachetnie podąża wbrew modom, pozostając wierny „teatrowi inscenizacji”. Maksymalnie wykorzystuje niewielką przestrzeń nowohuckiej Sceny Nurt. W przedstawieniu co rusz pojawiają się ulubione przez niego efekty: zapadnie i flugi, częste blackouty. Reżyser epatuje kuglarskimi, iluzjonistycznymi trickami: duch Banka objawia się widzom i Makbetowi po oświeceniu latarnią, podczepiona na linie Hekate szybuje na wysokościach przez środek sali. Konsekwencji w przyjętej stylistyce przedstawienia wypada tylko przyklasnąć. Stuhr świadomie demonstruje widzom teatr anachroniczny. Ale tkwi w takim założeniu niebezpieczeństwo, że w końcu ulegnie się cytowanej konwencji. Itak właśnie dzieje się w przedstawieniu Teatru Ludowego. Stuhr nie demaskuje scenicznej iluzji, przeciwnie, każe w nią wierzyć. Na słowo honoru.

Nie dziw więc, że nie służy przedstawieniu starożytnie tłumaczenie Leona Urlicha, o składni i leksyce brzmiącej koślawo w ustach aktorów, potykających się o jakieś przedziwne consonansowe zbitki typu: „pani, przyjechała już nas nie-

raz”. Traktowany przeraźliwie serio taki język szekspirowskich bohaterów przemienia ich we własne karykatury. I tylko z tego powodu w licznych przeciwmonologach Makbeta Rafał Dziwisz niesłusznie i strasznie przegrywa bitwę o sens swych wypowiedzi, wydaje się, że nie rozumie, co mówi i po jakie lichy.

Ten spektakl ma swoje absurdy, ale i swoje atuty. Do tych ostatnich zaliczyć wypada niezwykłą, eteryczną i jakby od samego początku „nieobecną duchem” Lady Makbet (gościnnie Ewa Kaim) aktorka tworzy postać z wolna zasklepiającą się w niezrozumiałym szaleń-

wiadania fabuły, czyli tego, co właściwie oczekuje dzisiejsza, wychowana na amerykańskich filmach młoda publiczność. Warunek ten nowohuckie przedstawienie w zasadzie spełnia aż do chwili, gdy niestety łamie się pięknie pomyślany, symboliczny finał (ubieranie Makbeta w zbroję przez posługaczy, zbrodniarz powoli zamienia się w posag, memento ludzkiego zżecz i pychy), a to za sprawą ignorujących zastygłego bohatera pogwarek zwycięskich wojaków i nagłego pojawienia się na scenie jakiegoś „biednego chłopca z książką w ręku” (Hamlet?!), gapiącego się w Mak-



Państwo Makbetowie – Ewa Kaim i Rafał Dziwisz

stwie. Morderstwo króla Duncana nie jest dla niej zdarzeniem rzeczywistym, ale snem. Sporo dynamizmu wnosi na scenę Tomasz Schimscheiner, efektowny jako Macduff, główny rywal i antagonistą Makbeta. Z ról epizodycznych zapamiętałem Piotra Bellucha (Malcolm), wyraźnie, co rzadkie w tym przedstawieniu, podającego wiersz.

O czym więc opowiada „popękany” „Macbeth” Jerzego Stuhra? Wydaje się, że jedynie o sztuce teatru, analizując swoją zdolność do poprawnego opo-

betowy postument, niczym jaki japoński tarysta, czego już zupełnie nie rozumiem. Dlatego jak najbardziej na miejscu wydaje się tu nieśmiałe pytanie: widać, nie znającego Szekspirowskiej tragedii z lektury: „Toco, zabili go w końcu czy nie?”

ŁUKASZ DREWNIAK

William Shakespeare, „Macbeth”.
Reżyseria: Jerzy Stuhr,
scenografia: Elżbieta Krywsza,
muzyka: Adam Korzeniewski.
Teatr Ludowy w Nowej Hucie –
premiera: grudzień 1995.

OZIENNIK POLSKI

31-072 KRAKÓW

ul. Wielopole 1

Nr 1 z dn. 01-09-96

O Jeżu, Jeziu, jakie ciaciane maleństwo! Jaki brzusio okrągłusieniczki, a pysio jak rumiane bułeczki. Cio, cio – pańcia daje dużo papu bobasowi, tak? No taaak, daje, daje – i stąd te nóżki jak watecki, stąd obwazianecki na rasiach! A ocka? Pokaż ocka... Pięćkne, ciudne – jak małe węgielki. A siurdaczek jest? No pewnie, że jest. I to jak! Schrupiemy zaraz bobasa, zjemy bez maselka. Aaam – i nie ma już paluszka, chruuum – i już po uszku. Pięćkny jestem, pięćkny, a jak się nazywamy, cio? Powiesz cioci? Makbet – odpowiada dumny ojciec.

Jest taki wiersz, Władysław Szymborskiej bodaj, wiersz o pewnym zdjęciu. Grono dorosłych, popadając w zachwyt nad maleństwem, duma zarazem o jego przyszłości. Osesek siedzi na kolanach u mamy i nazywa się Adolf H. Najnowsza produkcja Jerzego Stuhra jest jak dziecko właśnie. Ale przede wszystkim – co oczywiste – to spektakl teatralny, a ze spektaklu teatralnego po premierze nic już nieoczekiwane go wyrosnąć nie może. Przekonanie, że może – to kolejny głupawy sceniczny zabobon. Tak więc nowe dzieło Stuhra nie tylko jest, ale i pozostanie jak dziecko, co, nawiasem mówiąc, okazuje się zarazem jego siłą, jak i słabością. Pisząc „dziecko”, mam na myśli zamierzone, jak się zdaje, usadowienie się tego przedstawienia po stronie pewnej naiwności, niewinności, czy też czystości wieku

Paweł Głowacki

Makbeciátko

szkolnego. Oto bowiem Stuhra reżyserował Szekspirowskiego „Makbeta”, a wyszła mu bułka z masłem. Jedną z najbardziej przerażających tragedii w historii literatury – w tym wydaniu sprawa widzowi niekłamana przyjemność. Cieszy ucho i oko cieszy – jak dziecko właśnie. Nie przeraża, nie bulwersuje, nie przytłacza i nie targa nerwami. Ten „Makbet” to „Makbet” na niby jakby. Niczym zabawa w wojnę. Krew – to jak zwykle czerwona farbka, miecze są z tektury wycięte, trup zaś, choć ściele się gęsto, to i tak zaraz wstaje, bo mama woła na obiad.

Ważne jest to, czym ten „Makbet” nie jest. Otóż – przede wszystkim nie jest pretensjonalnością, to znaczy: nie ma pretensji do czegokolwiek, poza czytym, wyraźnym i nieskomplikowanym przekazaniem autorskich intencji. Jest tak, jakby twórcy doszli naraz do wniosku, że i tak – tymi siłami – żadną podniebną interpretacją nikogo na kolana nie rzuca, więc, wedle przysłowia o stawie i grobli, postanowili chodzić po ziemi. Czyli nie wygłupiać się publicznie. Nie ma zatem

żałosnych inscenizacyjnych i aktorskich zadęć, rozdymań, metafizycznych metafizyk i innych sflaczałych balonów. Nikt nie robi tutaj z widza kretyna, czyli durnia w cenie biletu. I chwala za to, Owszem, powstał spektakl raczej płaski, może cokolwiek za płytki, słowem – przeciętny, ale za to przeciętny, że tak powiem, bardzo profesjonalnie. Powstał spektakl po prostu uczciwy. Od pierwszych minut niczego nie obiecuje, toteż do minuty ostatniej niczego nie musi spełniać. I nie spełnia. Za to dość atrakcyjnie referuje Szekspira.

„Makbet” Stuhra to jakby sprawny bryk z arcytragedii, bryk szybki, bo zaledwie na godzinę i dwadzieścia minut zakrojony oraz mały, w niewielkich przestrzeniach sceny Nurt odegrany. Rzecz dzieje się wszędzie – na ścianach, na żelaznych galeriach, aktorzy zsuwają się po ukośnie zawieszonych linie lub też wciągani są aż po sufit w ogromnym koszu. Po drodze, jako się rzekło, referują Szekspira. I tutaj dochodzimy do drugiej, złej strony „dzieciactwa”. Otóż – aktorzy nazbyt łatwo borykają się z postaciami, a wła-

ściwie nie borykają się w ogóle. Popadają w oczywistości, stąpają po linii najmniejszego oporu. Grają po słowach raczej. Tak wkrada się lekka monotonia. I tak gubią się gorzkie, przerażające i dojmujące Szekspirowskie smaki. Z minuty na minutę widz czuje się coraz bezpieczniej. Jak wobec dzieci, bawiących się w wojnę właśnie. Aż korci pogdybać, korci pomarzyć, jak by ten „Makbet” wyglądał, poszerzony o jakikolwiek trzeci wymiar. Mniej więcej wiadomo. Wystarczy poobserwować dwie niewątpliwie najlepsze, bo najpełniejsze role w przedstawieniu: Lady Makbet Ewy Kaim i Odźwiernego Seytona Andrzeja Franczyka. Otóż – bardzo dobrze by wyglądał. A tak wygląda zaledwie przyjemnie. Przyjemnie na przeciętnie.

Więc jak właściwie jest z tą przeciętnością? Dobra jest czy też zła? Ganię ją czy chwale? Pogardzam czy pod niebiosa wynoszę? Takie nam, niestety, teatralne czasy nastały, iż, by przeżyć, winniśmy stanąć po stronie przeciętności, oczywiście – profesjonalnej. Nastały czasy wręcz wołające o pozytywistyczną pracę

u podstaw. Przyszły dni, kiedy to piekielnie nieprzeciętne sceniczne zamysły raz po raz i jak jeden mąż spadają z wysokości wprost, że tak powiem delikatnie, na pysk. Ale wtedy jest już za późno. W dniu premiery zawsze jest za późno. Nastały bardzo smutne czasy. Nie tak jak z bobasem u Szymborskiej, w teatrze grubo przed pierwszą kurtną dobrze wiadomo, co mianowicie z bobasa wyrośnie, że orzeł to – to raczej nie będzie, ale jakoś nikomu nie przychodzi do głowy, by zawczasu zareagować i nie katować dziecka. W imię Wielkiej Sztuki dochodzi do premier, kiedy to bobas udaje, że posiada umiejętność latania, co kończy się nieuchronną masakrą. Na domiar złego nikt nie wyciąga z owych jatek kompletnie żadnych nauk. Takie oto nadeszły dni. I dlatego właśnie staję otwarcie po stronie sprawnej przeciętności. Nie dlatego, iżbym ją szczególnie cenił, lecz dlatego, że wręcz nie cierpię scenicznych kuriozów, rzecz jasna z nieprzeciętnych założeń wyrastających. Zanim obejrzałem „Makbeta” Stuhra, natknąłem się na „Męża i żonę” Nurtkowskiego oraz „Biesy” Flaszena. Dlatego nie będzie pychą, jeśli rzeknę, że mówię to, co mówię, albowiem doskonale wiem, co mówię.

Teatr Ludowy, Scena Nurt; William Szekspir „Makbet”, reż. Jerzy Stuhra, scen. Elżbieta Krywsza, muz. Adam Korzeniowski

FILMOWY MACBETH

JACEK WAKAR

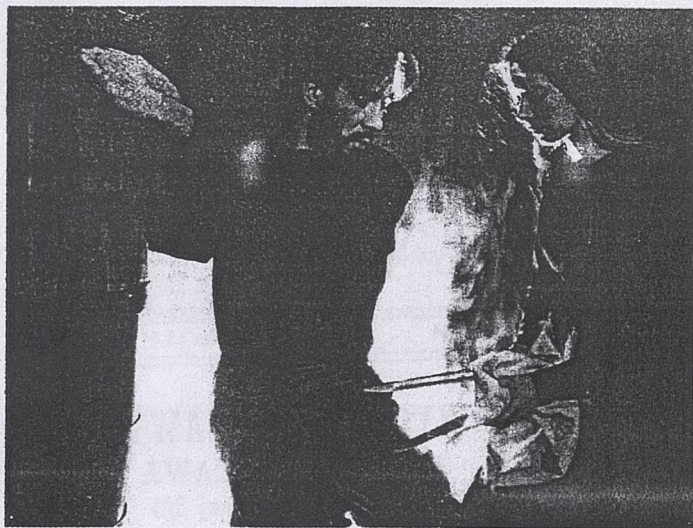
Teatr Ludowy w Nowej Hucie (Scena Nurt): *MACBETH* Williama Szekspira. Przekład: Leon Ulrich. Reżyseria: Jerzy Stuhr, scenografia: Elżbieta Krywsza, muzyka: Adam Korzeniowski. Premiera 16 XII 1995.

Dobre, malutkie przedstawienie - powiedział mi o nowohuckim *Macbecie* znajomy krakowski krytyk. I miał dużo racji. Do tego przedstawienia trudno przykładać miarę właściwą wielkiej szekspirowskiej inscenizacji. Nie uda się tu znaleźć "le grand théâtre", oczekiwanego zwykle od inscenizacji tego dramatu. Mierząc zamiary na siły reżyser Jerzy Stuhr i aktorzy Teatru Ludowego oferują jednak niemało.

Nowohucki *Macbeth* jest przede wszystkim sprawnie, konsekwentnie, w odpowiednim, szybkim, wręcz filmowym rytmie opowiedzianą historią. Konsekwencja reżyserska Jerzego Stuhra zaczyna się od przestrzeni. Przedstawienie grane jest na małej scenie "Nurt". Publiczność siedzi po obu stronach wąskiego przejścia, gdzie toczy się akcja. Ów pasaż zamykają dwa podesty. Scenografia Elżbiety Krywszy, mimo dużej skrótości, oddaje iluzję zawartą w dramacie. Na pierwszym z podestów ustawiono studnię, za nią znajdują się rozsławane ściany. W głębi, jak sugeruje się widzowi, mieści się zamek Macbetha. Na drugim podesty jest las, spod którego wyłonią się Czarownice. Będzie to także Las Birmański, który w finale zbliża się do zamku Macbetha i niesie mu zagładę. Reżyser i scenograf wykorzystują wszystkie możliwości ograniczonej, niewielkiej przestrzeni. Budują baśniowy świat, korzystając z mechanizmów, dostępnych tylko teatrowi. Wiedźmy spadają z sufitu w wielkim koszu, Hekate wjeżdża na scenę na rozwieszanej wysoko linie, która może udawać miotłę. Każdy kawałek sceny jest ograny, ale w sekwencjach z Odźwiernym (Wojciech Franczyk) akcja wkracza również na górne pomosty nad sceną. Uzyskujemy wrażenie niezwyklej dynamiki, mobilności (większość elementów scenografii, włącznie z lasem, jest ruchoma) przestrzeni. To teatr, wykorzystujący swoje możliwości do ostatka. Dzięki temu przedstawienie ma siłę wizualną, gdyż to, o czym w didaskaliach mówi autor, pokazane lub przynajmniej dobitnie zasugerowane jest na scenie - jak wspomniany, znajdujący się poza sceną, zamek Macbetha.

Tak pomyślana przestrzeń odpowiada filmowemu sposobowi narracji, jaki przyjął reżyser. Przedstawienie toczy się w szybkim tempie, poszczególne sceny dramatu oddzielone są od siebie wyciśnieniami. Ważną bowiem rolę w ukazywaniu baśniowego i emocjonalnego klimatu scen odgrywa światło. Różnorodne oświetlenie podkreśla szczegóły kostiumów i charakterystyki.

Ciekawie, stricte filmowo rozwiązano sceny monologów Macbetha (Rafał Dziwisz). Monologi następują tuż po liczniejszych sekwencjach, bez specjalnego przygotowania. Aktor siada na chwilę, oświetlony wyłącznie punktówką. Daje to efekt filmowego zbliżenia, które nie zwalnia toku opowiadania.



Rafał Dziwisz (Macbeth), Ewa Kaim (Lady Macbeth)

Jerzy Stuhr miał jeszcze inne dobre pomysły. Istotne wydaje się połączenie ról Czarownic (Marta Bizoń, Agata Jakubik, Beata Schimscheiner) i służących Lady Macbeth (Ewa Kaim). Ingerencja sił nieczystych staje się klamrą, spinającą poszczególne sceny, elementem, napędzającym zło, którego dopuszczają się Macbeth i jego małżonka.

Jerzego Stuhra interesuje opowiedzenie ciekawej historii i przybliżenie *Macbetha* młodej, wkraczającej w dramaturgię Szekspira publiczności. Nie usatysfakcjonowani mogą poczuć się ci, którzy oczekują harmonijnego połączenia formy i treści, gdyż ta, także przez nierówne aktorstwo, schodzi na dalszy plan. Najlepszą rolę nowohuckiego przedstawienia jest niewątpliwie Lady Macbeth w interpretacji Ewy Kaim. Jest krucha, dziewczęca w zewnętrznym rysunku, wydawałoby się - niewinna. Podżeganie do kolejnych zbrodni staje się równocześnie z popadaniem w coraz silniejsze szaleństwo. Jest to także wejście w rolę zbrodniarki. Na początku spektaklu służące - czarownice wkładają Lady Macbeth czarną suknię. Scena, pięknie skomponowana malarsko, zmysłowa, jest specyficznym namaszczeniem do czynienia zła. Lady Macbeth Ewy Kaim wydaje mi się rolą czytaną poprzez Ofelię. Kolejne morderstwa nie przynoszą jej już satysfakcji, jednak z tej drogi nie można zejść, szaleństwo staje się zbyt silne, prowadzi do autodestrukcji postaci.

Podobali mi się Krzysztof Radkowski (Banquo), który gra na pozór nieefekownie, ale potrafi w kilku gestach zawrzeć prawdę o kreowanym bohaterze i Tomasz Schimscheiner w roli Macduffa, który ma świetną tragiczną scenę, gdy dowiaduje się o okrutnej śmierci swoich najbliższych. Jest przejmujący, gdy pada na kolana, porażony bólem nie do zniesienia dla męża i ojca, w jednej chwili tracącego wszystko. Zabawną etiudę na temat pijanego gra Andrzej Frenczyk w roli Odźwiernego, wprowadzając do przedstawienia ton komediowy, czy nawet farsowy.

Niestety z rolą Macbetha nie poradził sobie Rafał Dziwisz. Nie "klamie", ale jego bohaterowi brakuje dramatycznej siły. Trudno uwierzyć, żeby był zdolny pokonać strach i zrobić wszystko, co zrobił. Brakuje nadrzędnej idei. Błado wypadają też podawane ze zbyt małą wyrazistością monologi. Ale to karkołomna rola.

Nie rozumiem także zakończenia przedstawienia. U Szekspira Macbeth ginie w walce z Macduffem, tu, zamieniony w posąg, do końca zostaje na scenie. Czy chodziło tu o nawiązanie do Don Juana i posągu Komandora?

Mimo tych zastrzeżeń, inscenizacja Jerzego Stuhra dobrze obrazuje drogę, którą dąży reżyser i jego aktorzy, często dawni studenci, w spektaklach Teatru Ludowego. To teatr robiony przez młodych ludzi i do młodych adresowany. Najważniejszy jest kontakt z publicznością i skupienie jej uwagi na tym, co dzieje się na scenie. I tu Stuhr i jego aktorzy osiągają sukces, gdyż widownia, w ogromnej większości bardzo młoda, z ogromnym zaangażowaniem śledzi losy Szekspirowskich bohaterów.

ZYCIE WARSZAWY

00-575 WARSZAWA

Al. Armii Ludowej 3/5

Nr z dn.

350 27 - 12 - 95

TEATR. JERZY STUHR REŻYSERUJE SZEKSPIRA

Hokus-pokus i Makbet

W zimny, wilgotny wieczór, tłukąc się przez 40 minut autobusem z Krakowa do Nowej Huty, rozmyślałam ponuro: dlaczego Jerzy Stuhr po raz kolejny reżyseruje przedstawienie w Hucie, mając pod bokiem teatry krakowskie? Dlaczego wybrał szekspirowskiego „Makbeta” — po setkach świetnych i mniej świetnych inscenizacjach tej sztuki? I wreszcie dlaczego robi to z zespołem, w którym nie ma gwiazd? Przedstawienie „Makbeta” na małej scenie teatru Ludowego „Nurt” dało odpowiedź na te omyłkowo postawione pytania; okazało się swoistą lekcją pokory.

Dlaczego Stuhr reżyseruje w Hucie? Może dlatego, że lubi lepić w surowym, ale pełnym dobrej woli tworzywie? Chętny do pracy, acz niedoświadczony

zespół, uzyskuje czasem efekt lepszy od tego, jaki osiąga areopag gwiazd pod wodzą reżyseria, który sam nie wie do czego zmierza.

„Makbet” w Hucie z pewnością nie jest przedstawieniem odkrywczym. Niczego nowego nie dowiadujemy się o tym dramacie ponad to, co napisał Jan Kott i wyreżyserował Akira Kurosawa — by przywołać dwa tylko świetne nazwiska. Ale to przedstawienie ma konkretne zalety: jasno i klarownie przedstawia problem zabijania — wielkiego morderstwa, które ciągnie za sobą łańcuch zbrodni. Krótko mówiąc reżyser wie co i jak chce powiedzieć. „Makbet” nie jest aktorsko wybitnym spektaklem, ponieważ w teatrze Ludowym nie ma Łomnickich i Holoubków, ale jest grany rzetelnie i

poprawnie przez bardzo młody zespół. Pewnie aktorzy są byłymi uczniami Stuhra ze szkoły teatralnej i tak sobie wyobrażam, że praca nad przedstawieniem była dalszym ciągiem magicznej sztuki teatru. A propos słowa „magiczna” — przedstawienie podoba mi się jeszcze z tego względu, że wykorzystuje rozmaite teatralne hokus pokus i to dodaje mu urody. Jest zwarte, utrzymane w dobrym tempie. Rozgrywa się w ciemnościach i szarościach. To mroczny spektakl z dobrze zakomponowaną przestrzenią sceny.

Ostatnie miesiące życia teatralnego, w Krakowie uczą, że nie sztuką jest wyreżyserować przysłowiowego knota w dobrym, a nawet legendarnym teatrze — by przypomnieć sromotną kląpę „Męża i żony” w Starym. Sztuką jest pokazać rzetelne, przyzwoite przedstawienie w teatrze, który miewa trudności z osiąganiem sukcesu.

ELŻBIETA KONIECZNA

William Szekspir „Makbet”

Reż. Jerzy Stuhr,

Scen. Elżbieta Krywsza

Muz. Adam Korzeniowski

Scena „Nurt” Teatru Ludowego
w Nowej Hucie

CZARODZIEJE ZE WSCHODU

*Poznańskie Biuro Podróży i Teatr Ludowy z Nowej Huty na okładkach „Scotsmana”,
euforyczne recenzje, kolejki po bilety, prestiżowa nagroda „Heralda” dla Tomasza Borka.
Drugi tydzień festiwalu alternatywnego Fringe należał do Polaków*

KORESPONDENCJA

ROMAN PAWŁOWSKI
EDYNBURG

Celnicy w Dover nie mogli uwierzyć, że teatr z odległego o tysiąc mil Krakowa jedzie do Szkocji z „Makbetem”. Drzewo do lasu? Dyrektor Teatru Ludowego Jerzy Fedorowicz, który zainwestował w występy w Edynburgu 800 milionów starych złotych (od sponsorów, Rady Miasta Krakowa, polskiego Ministerstwa Kultury i brytyjskiego funduszu Visiting Arts), wiele ryzykował.

Po dziesięciu z piętnastu zaplanowanych przedstawień może spać spokojnie. Polski „Makbet” w reżyserii Jerzego Stuhra, jeden z sześciu na Fringe’u, został uznany za najciekawszy, obok wystawionego na zamku Ravenscraig „Makbeta” z Białorusi.

Kariera krakowskich Wiedźm

Grany po polsku spektakl nie sprawił trudności w odbiorze, co podkreślali niemal wszyscy recenzenci. Bariere językową przełamały widowiskowe efekty z Hekate zjeżdżającą po linie, Wiedźmami ukrytymi w podwieszonym pod sufitem koszu, z dymami i Birnamskim Lasem z trzciny i słomy. „Najbardziej pomysłowa obcojęzyczna inscenizacja Szekspira w tym roku na Fringe’u” – ogłosił w jednej z pierwszych recenzji szkocki „Herald”, chwalać krakowski spektakl za wykorzystanie światła (a właściwie mroku) i przestrzeni. Gorzej poszło ze znaczeniami: „Im ciemniej się robi na scenie, tym trudniej ocenić, dokąd ten spektakl stara się nas prowadzić”.

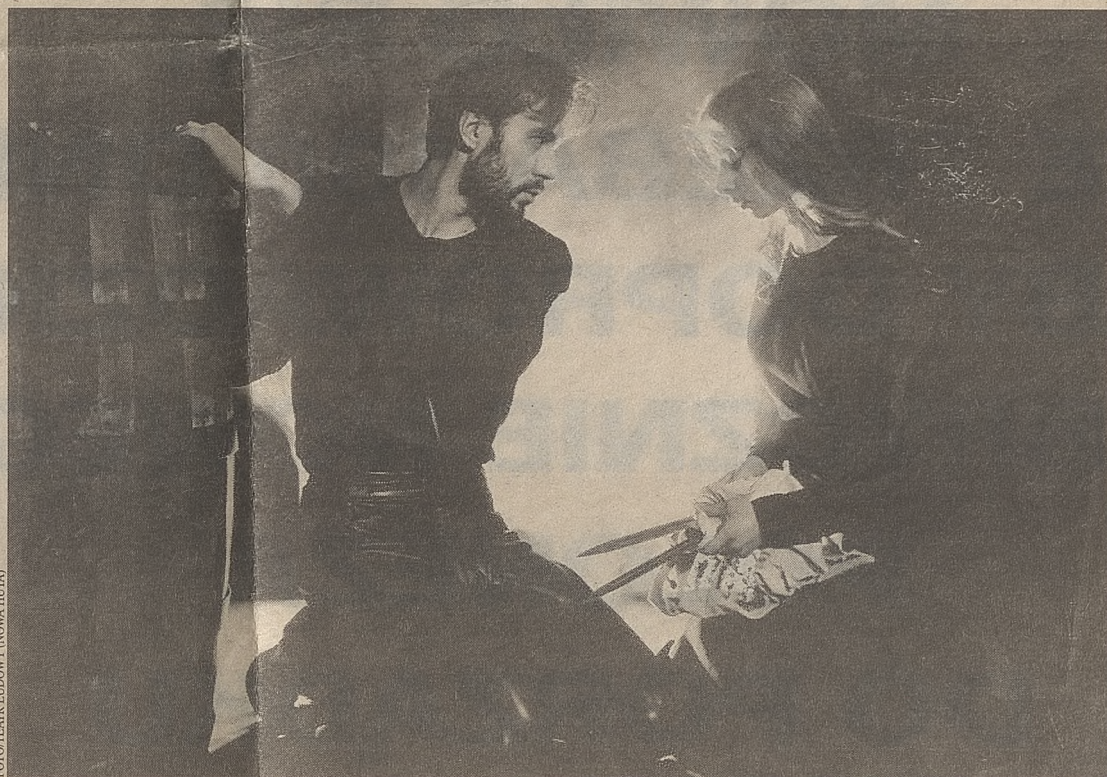
Wątpliwości rozwiązał „Scotsman”, który przedstawienie uczynił wydarzeniem dnia i nagroził pięcioma gwiazdkami. „Oszałamiające, pasjonująco wykonane (...) proste efekty techniczne wzmagają nadnaturalną magię (...) jedno z najwyższych osiągnięć Fringe’u” – to niektóre z pochwał, których nie szczędził największy szkocki dziennik. Wiedźmy z Ludowego zrobiły karierę trafiając na okładkę festiwalowego dodatku.

Sukces spektaklu, który w Polsce miał nieprzychylnie recenzje, polega na szybkiej akcji i widowiskowych efektach, których brakuje większości przedstawień na Fringe’u. Rzadko widuje się prawdziwe dekoracje, które mogłyby konkurować z projektem Elżbiety Krywskiej, a 18 zawodowych aktorów na scenie to dla wielu reżyserów marzenie ściętej głowy.

Sprzedać się na Fringe’u

Teatr Ludowy i drugą krakowską grupę: teatr Mist Stanisława Michno – byłego aktora Cricot 2 – sprowadził do Edynburga Tomek Bork (Tomasz Borkowy), polski aktor (serial „Dom”), od 1982 roku na emigracji. Jest on dziś dyrektorem artystycznym jednego z największych kompleksów teatralnych na Fringe’u – Edinburgh Venue Associates, w którym na sześciu scenach występuje ponad 60 zespołów. Za prowadzenie tego teatralnego molocha otrzymał on właśnie prestiżową nagrodę dziennika „Herald” – Angel, którą wcześniej uhonorowano Roberta Wilsona.

Sprowadzaniem zespołów ze środkowej i wschodniej Europy zajmuje się inna organizacja Borka – Arts International Exchange. Może stać się ona poważną konkurencją dla Fundacji Richarda Demarco. – Polski teatr ma wielką przyszłość, ale jest źle finansowany – mówił Bork na zorganizowanym przez Instytut Polski spotkaniu z polskimi zespołami. – Musimy przywozić do Edynburga przedstawienia z Polski, aby ludzie teatru nauczyli się, jak działać



„Oszałamiające, pasjonująco wykonane...” – wielki sukces „Makbeta” z Nowej Huty w reżyserii Jerzego Stuhra. Na zdjęciu Ewa Kaim (Lady Makbet) i Rafał Dziwisz (Makbet)

w warunkach rynku, jak sprzedać dobry produkt.

Ładunek emocji

Kiedy polscy aktorzy z dotowanego teatru uczą się sprzedawać na największym festiwalu teatralnym na świecie, brytyjska prasa zastanawia się, czego można nauczyć się od teatru ze wschodniej Europy. „Aktorstwa z ładunkiem emocji, które rzadko spotyka się w Szkocji, jeszcze rzadziej w angielskim teatrze, oraz zapierających dech obrazów” – twierdzi „Scotland on Sunday” opisując przebieg festiwalu – genialny spektakl rosyjskiego mima Sławy Polunina – obok „Makbeta” z Krakowa i „Carmen Funebre” poznańskiego Biura Podróży.

Nawet przedstawienia słabsze, jak „Gimpel” teatru Mist – sentymalny obrazek z życia Żydów na motywach Singera – czy angielska wersja „Dziadów” Mickiewicza, którą we własnym tłumaczeniu wystawili studenci anglistyki z Łodzi, wzbudzają sympatię publiczności i zainteresowanie krytyków, chociaż niektórzy z nich nie są pewni, jak właściwie nazywał się narodowy poeta polski: Mickiewicz czy Mitkiewicz. Na łamach „Scotland on Sunday” w tekście „Czarodzieje ze Wschodu” Robert Dawson Scott pisze o roli Stanisława Michno w „Gimplu”: „Pod koniec masz poczucie, że ten miły starszy pan dźwiga ciężar całej Europy Wschodniej i mimo to idzie dalej”. A jednego z łódzkich studentów komplementuje porównaniem do Klausa Marii Brandauera.

Przesady nie czuje się za to w pochwałach dla „Carmen Funebre” poznańskiego Biura Podróży, chociaż jednemu z recenzentów zdarzyło się już mianować reżysera i lidera grupy Pawła Szkotaka następcą Grotowskiego i Kantora. Grany późnym wieczorem na dziedzińcu Uniwersytetu w Edynburgu plenerowy spektakl o horrorze wojny przyciąga znacznie więcej widzów niż okoliczne kabarety.

Po zeszłorocznym sukcesie (Fringe First i Nagroda Krytyków) poznański teatr wystąpił w tym roku na prestiżowym festiwalu City of London. Grał też w Brazylii, Turcji i Szkocji. „To historia sukcesu, która mogła zdarzyć się tylko na Fringe’u” – komentował „Sunday Express”. Wszystkie liczące się gazety umieszczają „Carmen Funebre” w dziesiątce najważniejszych wydarzeń festi-

walu, obok spektakli Roberta Wilsona i Marka Morrisa. Spektakl jest wciąż tak samo sugestywny, zmieniły się tylko wojny, do których odnosi się jego uniwersalne przesłanie. „Przerażająca przemoc w „Carmen Funebre” w ciągu 45 minut mówi więcej o horrorze Bośni niż setki godzin telewizyjnych wiadomości” – pisze londyński „Guardian”. „Dla Niemców może wywołać obrazy z II wojny światowej. Gdyby spektakl pokazał w Groznym, bez wątpienia przypominałby Czeczenom ich własne życie” – interpretuje „Sunday Times”.

Na przeciwnym biegunie festiwalu jest skromny, 40-minutowy monodram Zofii Kalińskiej „Gdybym była Medeą”. Dawna aktorka Kantora gra dla garstki widzów w odrapanej, brudnej piwnicy w budynku Fundacji Richarda Demarco, która z powodzeniem mogłaby posłużyć za scenę do jednego z przedstawień Cricot 2. Wszystko przypomina tu Kantorowe „przedmioty najniższej rangi”: od mebli i szmat na podłodze, po metalowe siatki i pokryte liszajami ściany.

Na wyborze i zakomponowaniu przestrzeni kończą się jednak blaski monodramu Kalińskiej albo raczej psychodramy, w której aktorka porównuje swoje osobiste doświadczenia z mityczną Medeą.

„Przedstawienie (...) waha się dramatycznie między łagodnym tonem rozmowy a szczytami deklamacji tragicznych heroin” – pisze „Herald” dodając, że siła i rezonans spektaklu pochodzą ze szczególnego charakteru przestrzeni, w której jest grany. Wysoko ocenił Zofię Kalińską „Scotsman” przyznając cztery gwiazdki (na pięć możliwych): – „To przywilej być obecnym przed takim wykonawcą”.

Czekając na Polaków

Nie tylko na Fringe’u, ale również na Międzynarodowym Festiwalu w Edynburgu jest wiele miejsca dla polskiego teatru. Czekają na niego publiczność, której apetyt rozbudziły przez lata zespoły alternatywne, czekają krytycy, którzy w wysokiej klasy teatrze ze Wschodu widzą przeciwwagę dla kabaretów i komedii dominujących na Fringe’u.

Tymczasem w Polsce, w instytucjach promujących kulturę, a także wśród ludzi teatru, festiwal w Edynburgu wciąż uchodzi za imprezę dla amatorów, w którą nie warto inwestować. Jakby za-

pomniano, że występował tu nawet Stary Teatr ze „Zbrodnią i karą”. Polskiego zespołu nie było w programie głównym od lat. Kariera Biura Podróży pokazuje, że Edynburg jest bramą do teatralnego świata. Trzeba tylko mieć do niej odpowiedni klucz.



26

„GLOB”

SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

Gazeta Krakowska

30-520 Kraków

ul. Warneńczyka 14

203 30-08-96

Nr z dn.

W Krakowie krytyka, w Edynburgu zachwyt...

Ludowy po wojazach

W Polsce „Makbet” Teatru Ludowego w reżyserii Jerzego Stuhra miał nie najlepsze recenzje, w Edynburgu na najbardziej prestiżowym festiwalu teatralnym w Europie, krytycy przyznawali mu najwyższe noty. Młodzi aktorzy podzielili się wczoraj z dziennikarzami wrażeniami z festiwalu.

„Najlepszy Szekspir tegoż rocznego festiwalu w krótkiej, gorącej wersji Teatru Ludowego z Krakowa. Język nie stanowi bariery!” – reklamował polskiego „Makbeta” „Scotland on Sunday”. „The Scotsman” przyznał mu maksymalną notę i nazwał „głównym wydarzeniem”. Zdjęcia wiedźm, w których zakochali się krytycy, trafiły na pierwsze strony dzienników. Polacy podbili widzów efektowną inscenizacją, w

której – według recenzenta „Scotsmana” – „oszałamiające, pasjonująco wykonane proste efekty techniczne wzmagają nadnaturalną magię”.

Zastanawiającą rozbieżność odbioru spektaklu w kraju i na festiwalu aktorzy tłumaczyli „zupełnie innym klimatem dla teatru”.

– Gramy zawsze najlepiej, jak potrafimy, bez względu na miejsce i publiczność. Ale atmosfera na widowni, stosunek krytyki, powodują, że gra

się inaczej. Teatr tworzą wszyscy obecni na spektaklu. W Polsce musimy walczyć z widownią, która często lubi, z zasady, okazywać swoje niezadowolone, krytycy za punkt honoru uznają skrytykowanie przedstawienia. Na festiwalu widać było, że nastawienie wobec sztuki jest „na tak” – mówili aktorzy.

– Kiedy pomyśle, że teraz będę grać przed przysypiającymi wycieczkami, to ciarki mi przechodzą po plecach – powiedziała urzeczona wspomnieniami z Edynburga Marta Bizoń, według „Daily Scotsman”, jedna z trzech „najbardziej seksownych wiedźm wszystkich czasów”. (kika)



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

ECHO KRAKOWA

31-548 Kraków
al. Pokoju 5

Nr z dn.

171 1-09-96

Dyrektor zamiatał scenę...

Najseksowniejsze wiedźmy z Nowej Huty

FESTIWAL Fringe w Edynburgu jest chyba największą imprezą teatralną na świecie. W sierpniu wystąpiło tam około 650 zespołów z całego świata, prezentując ponad 1300 różnych spektakli. W tym roku na festiwalu spory sukces odniósł Teatr Ludowy z Krakowa.

Gdy dyrektor Jerzy Fedorowicz po raz pierwszy zdradził się z zamiarem wysłania swego teatru do Szkocji, spora część środowiska uznała ten pomysł, jeśli nie za absurdalny, to przynajmniej za bardzo kontrowersyjny. Jechać z "Macbethem" do Edynburga? - przecież wszyscy znają tam Shakespeare'a na pamięć. A poza tym, jak się później okazało, na Fringu prezentowano jeszcze pięć innych wersji "Macbetha". Jednak Teatr Ludowy postawił na swoim i, dzięki ogromnej pomocy sponsorów, zespół wyjechał za kanał La Manche.

Wczoraj na konferencji prasowej w Piwnicy pod Wieżą Ratuszową rozentuzjasmowani aktorzy z wypiekami na twarzach opowiadali o swojej artystycznej podróży. Za Londynem, w drodze do Edynburga teatralny "Jelcz", zwany przez aktorów pieszczotliwie "Czczeńem", o mało nie rozbił się w ogromnym karambolu. Tylko przytomności kierowcy i ogromnemu szczęściu

aktorzy zawdzięczają, że mogli wystąpić później na festiwalu. Kilkanaście samochodów przed, i kilka za autobusem, zakończyło wtedy swe podróże.

Pierwszy spektakl został odebrany bardzo dobrze przez stuosobową widownię (pełna sala), nie było kłopotów z barierą językową w rozumieniu treści.

- *Wspaniała publiczność - to jedno z najpiękniejszych przeżyć, jakie zdarzyły się nam w Edynburgu* - stwierdził grający Macbetha Rafal Dziwisz. I rzeczywiście, publiczność dopisała. Na wszystkich spektaklach były komplety. I choć widownię tego kameralnego spektaklu zwiększono o 18 miejsc, wiele osób odchodziło od kas z kwitkiem. Podczas pobytu w Edynburgu Teatr Ludowy zagrał "Macbetha" wyreżyserowanego przez Jerzego Stuhra 14 razy, zawsze przy pełnej sali.

- *Nigdy w Krakowie się nam tak dobrze nie grało* - mówiła Lady Macbeth, Ewa Kaim. - *Widzowie pomagali nam grać* - dodawali podczas konferencji prasowej inni aktorzy.

W Edynburgu aktorzy byli także... ekipą techniczną. W sali, gdzie grali "Macbetha" występowały również inne teatry. Scenografię trzeba było montować i demontować. Nie-

którzy żartowali, że warto było pojechać do Edynburga choćby po to, by zobaczyć jak dyrektor Jerzy Fedorowicz zamiatał scenę i przenosi ciężkie podesty.

Spektaklom pełnym widzów towarzyszyło uznanie krytyki. Recenzenci przyznali spektaklowi pięć gwiazdek. W Edynburgu grane są setki przedstawień. By jakoś rozeznaczyć się w tym chaosie, by pomóc widzom wybrać najciekawsze zdarzenia, codziennie "The Scotsman" wydaje festiwalowy dodatek - przewodnik po festiwalu. Pięć gwiazdek oznacza w nim najwyższą jakość. Ale nie tylko rankingi przemawiały za Teatrem Ludowym. Ukazało się wiele merytorycznych recenzji w różnych gazetach. Pewnego dnia aktorzy ze zdumieniem na całej pierwszej stronie prestiżowego "Scotsmana" zobaczyli zdjęcie nowohuckiej Hekate - *Katarzyny Tlalki-Bryś*. Zresztą, również młode polskie aktorki zostały okrzyknięte najbardziej seksownymi Wiedźmami, występującymi kiedykolwiek na scenie.

A w przyszłym roku może warto byłoby pojechać do Awinionu? Może z "Antygona"? To będzie pierwsza nowa propozycja Teatru Ludowego w tym sezonie (premiera 5 X). (tak)